

Wychodzi w każdą
Sobotę.

Cena prenumeracyjna
w całej Austrii:
rocznie 8 złr. — półrocznie
4 złr. — kwartalnie 2 złr.
w Niemczech:
rocznie 5 tal. — półrocznie
2 tal. 15 sgr. — kwartalnie
1 tal. 8 sgr.
we Francji:
rocznie 21 fr. — półrocznie
11 fr. — kwartalnie 6 fr.
Numer pojedynczy 20 ct.
Redakcja: Ulica
wałowa Nr. 19.

ŚWIT

Główne agencje: we
Lwowie księgarnia K.
Wilda, w Krakowie
księgarnia J. Wilda, w
Poznaniu księgarnia J. K.
Zupańskiego.

Rekopy nie przyjęte
do druku zwracają się w ra-
zie zażądania.

Szanownych autorów
i nakładców, życzących so-
bie znaleźć w „Świcie”
wzmiankę lub rozbiór kry-
tyczny swych dzieł pro-
simy o nadsyłanie Redak-
cyi egzemplarzy takowych

TYGODNIK NAUKOWY, LITERACKI I ARTYSTYCZNY.

Treść: O poezyi XIX wieku w Polsce i we Francji, przez *Wacława Gasztowta*. — Święto majowe, poemat z czasów pogaństwa Słowian łuzickich, przez *Romana Zmorzkiego*. — Kalejdoskop, obrazy czasów i ludzi, przez *Berlieza Sasa*. (C. d.) — Historyzofia J. W. Drapera, przez *Wojciecha Dzieruszyckiego*. — Meczennicy fantazyi, nowella z niemieckiego *Ludwika Foglara*. (C. d.) — Przegląd rzeczy słowiańskich, przez *Władysława Ordona*. (Dok.) — Przegląd teatralny, przez *Bronisława Zawadzkiego*. — Wiadomości naukowe, literackie i artystyczne.

Ogłoszenie przedpłaty.

Z dniem 1go Maja b. r. rozpoczyna się nowy kwartał naszego pisma, trwający do ostatniego Lipca b. r. Upraszamy o rychłe ponowienie przedpłaty, ażeby według tego zastosować liczbę nakładu.

Świt wychodzić będzie w dotychczasowym formacie, tak, że na każdy numer wypadnie 1½ arkusza druku.

Cena kwartalna wynosi w Galicyi 2 złr. w. a.; w Niemczech 1 tal. 8 sgr.; we Francji 6 fr.
półroczna „ „ 4 „ „ 2 „ 15 „ 11 „
roczna „ „ 8 „ „ 5 „ — „ 21 „

Prenumeratę należy przysyłać za przekazem pocztowym lub w listach frankowanych wprost do Redakcyi Świtu, Ulica Wałowa Nr. 19.

W przyszłym kwartale drukować będziemy obszerną powieść *Michała Bałuckiego*: „**Miedzy niebem a ziemią**”;

najnowszą komedję *Władysława hr. Koziebrodzkiego* „**W jesieni**” i sławny dramat *Michała Beera*: „**Struensee**,” w przekładzie wierszem *Władysława Belzy*;

poematy *Herdera*: „**Cyd**” i *Ossyana*: „**Karton**” w przekładzie *Władysława hr. Tarnowskiego*; jakoteż poezye *Michała Bałuckiego*, *Ernesta Buławy*, *Teofila Lenartowicza*, *Adama Pajgerta*, *Władysława Ordona* i innych;

szereg rozpraw naukowo-literackich, jako to: dr. *Adama Belcikowskiego*: „**O poezyi polskiej XIX wieku i jej wpływie na umysłowe i polityczne życie narodu**,” dr. *Wł. Deisenberga*: „**O etnografii**,” *Wacława Gasztowta*: „**Rej i Montaigne**,” dr. *Gustawa Roszkowskiego*: „**O przywilejach i ceremoniach dyplomatycznych**,” *Henryka Schmitta*: „**Duch i przyroda w dziejach**,” *Alfreda Szczepańskiego*: „**Tadeusz Kościuszko na tle najnowszych badań**” i inne.

Lwów dnia 17. Kwietnia 1872.

Od redakcyi.

O poezyi XIX wieku w Polsce i we Francji,

przez

WACŁAWA GASZTOWTA.

Γνώσι σεαυτὸν.

Poznaj sam siebie! woła do ludzkości całej głos starożytnej mądrości. Każdy człowiek pojedynczy, każdy pojedynczy naród na tem jedynie poznaniu siebie samego może opierać jako na podstawie najpewniejszej i najtrwalszej całą budowę moralnego i nawet materialnego wydoskonalenia swojej istoty; a jeżeli własna wina lub

NA OKAZ.

pod wpływem silniejszych okoliczności człowiek lub naród upadł moralnie lub materialnie, z tej li tylko zasady wychodząc, może wynaleźć najstosowniejsze, najskuteczniejsze środki do wydzwignienia się z chwilowej niemocy. Ale jakim sposobem można dojść do tej samowiedzy, aby z niej snuć dopiero należyte wnioski? Jakim sposobem, naród, istota zbiorowa, żyjąca w przeszłości równie jak w obecnej chwili, składająca się z tylu różnorodnych

żywiółów, mająca tradycje swoje, mająca i cele swoje nie wszędzie, nie zawsze jasno pojęte i określone, może nabyć tej niezbędnej znajomości wszystkiego, co stanowi jej naturę? Jużćie nie inaczej jak cierpliwem badaniem każdego z osobna szczegółu, z których składa się jej całość; przeszłość jej rozbierana będzie w historii, stan obecny będzie przedmiotem studyów jej polityków, ekonomistów, naturalistów; a z tego nagromadzonego materiału faktów, filozof, za pomocą syntezy, wytworzy ideał, do którego dążył naród w przeszłości, lub dążyć powinien w przyszłości.

Ale ten ideał lepiej jeszcze, chociaż często bezwiednie, wyraża się w literaturze narodu, a szczególnie w jego poezyi. Ztąd sławny aksjomat, że literatura jest wyrazem społeczeństwa; ztąd potrzeba i ważność tej nowożytniej nauki, która jest jednym z najszczytniejszych owoców naszego wieku, a której nazwa: krytyka literacka. Może niejeden z czytelników zadziwi się twierdzeniu, że krytyka jest nauką. Przez długi czas bowiem, jak każda początkująca praca umysłu ludzkiego, krytyka nie podlegała żadnym zasadom ścisłym, była tylko wyrazem pojedynczych wstrętów lub upodobań, a zachęcając lub zrażając współczesnych autorów równie samowolną surowością lub pobłażliwością, nie sięgała dalej jak chwila dzisiejsza, nie zakładała sobie szerszych i wyższych celów, jak kierowanie opinią publiczności, wydoskonalanie jej gustu i zmysłu estetycznego. Ale krytyka dzisiaj obejmuje historię literatury, obejmuje więcej jeszcze, bo filozofię literatury, a stała się najpotężniejszym narzędziem do wyświecania cechy odrębnej, osobnego gieniuszu każdego narodu, a przez to najkrótszą i najpewniejszą drogą do tej samowiedzy, o którą nam idzie.

Taki jest cel krytyki; jakaż jej będzie metoda? Jeżeli chcemy za pomocą krytyki literackiej poznać to, co stanowi istotę, treść, rdzeń gieniuszu polskiego, jakim sposobem do tego przyjdziemy? Mamy przed sobą, jak w naukach przyrodzonych, fakta rozliczne; tymi faktami są pomniki literackie, które trzeba szczegółowo badać, między sobą porównywać i rozeznawszy je naukowo skupiać, grupować. Dokonawszy tej niezbędnej klasyfikacji, będziemy mieli dokładną i wyrozumowaną znajomość literatury polskiej — ale czy to wystarcza, aby przyjąć do zamierzonego celu? Bynajmniej. Chcąc bowiem znać przedmiot jakikolwiek, trzeba go umieć rozróżniać od innych przedmiotów, a porównanie, które nam dopiero posłużyło do zdobycia znajomości faktów stanowiących literaturę polską, powinno teraz zbliżyć literaturę polską do innych literatur, podobieństwa i różnice między nią a temi literaturami naukowo wykazać, abyśmy z tego mogli wywnioskować, że w literaturze polskiej ten lub ów żywioł jest ogólnie ludzkim, ten znowu jest ogólnie europejskim, ten ogólnie słowiańskim, ten nareszcie czysto polskim.

Nie łatwe to zapewne dzieło, któremu w całości podołać ani jeden człowiek, ani całe pokolenie pisarzy nie może. Wymaga ono bowiem wszechstronnej i głębokiej znajomości wszystkich języków, wszystkich literatur starożytnych i nowożytnych, europejskich i zaeuropejskich. Gmachu tego olbrzymiego postawić nikt nie jest w stanie, ale właśnie dla tego powinnością każdego przynieść doń cegiełkę swoją. Rozprószeni po świecie, a jednak złączeni jednym wspólnym nierozumwanym węzłem poczucia narodowości naszej, my Polacy możemy lepiej jak ktokolwiek korzystać z tych wyjątkowych okoliczności i próbować tego dzieła.

W tem to przekonaniu, głęboko we mnie wkorzeniem, od czasu jak opuściłem ławy szkolne, poświęci-

łem wszystkie myśli, wszystkie prace jednemu celowi: porównywać umiejętnie literaturę francuską i literaturę polską, rozeznawać dwa żywioły, polski i francuski, wśród których oddychałem, które składały się, że tak powiem, na utworzenie mojej istoty moralnej. Czy wypadek tych poszukiwań zasługuje na to, abym go oddał pod sąd publiczności? Czy pojedyncze usiłowania jednego zdolne będą obudzać ciekawość i gorliwość drugich? Nie śmiem odpowiedzieć sam na te pytania, a zanim dojdziemy do całkowitego porównania obu literatur, na próbę tylko ośmielałem się ogłosić jeden z działów tej niedokończonoj a długiej i mozolnej pracy.

I.

Poezya XIX wieku jest niezaprzeczenie we Francji i w Polsce, a szczególnie w Polsce, jednym z najwybitniejszych objawów siły twórczej każdego z tych narodów. Są to dwa chóry potężne, wspaniałe, w których harmonijna jedność wynika z najrozmaitszej różności pojedynczych dźwięków i akordów, a w których żyje to, czego my właśnie szukamy, a co poeci nazwali duszą narodu. Jednocześnie one się odezwały, w części temi samemi okolicznościami wywołane, w części z jednego natchnienia pochodzące; a zatem mają one wspólne niektóre tętna i często wtórują sobie, chociaż obok częściowych podobieństw mieszczą się w nich wszystkie niemal różnice, które rozdzielają gieniusz polski od francuskiego. Pod tym względem są one najwierniejszem odbiciem, najzupełniejszem streszczeniem obu literatur, i najstosowniejse otwierają nam pole do ogólnych poglądów.

Kiedy wypadki zaszły pod koniec XVIII stulecia, a będące same wynikiem poprzedniej kilkowiekowej pracy historycznej, zatrzęsły całą Europą a następnie całym światem, kiedy rewolucya umysłowa i polityczna zmieniając do szczytu wszystkie stosunki społeczne i międzynarodowe, oddziaływała na plody umysłowe i dokonała w literaturach europejskich reformy co najmniej tak ważnej, jak zdobycie Konstantynopola za czasów tak zwanego odrodzenia (*la Renaissance*), czem była francuzka, czem była polska literatura?

We Francji wrodzony plemieniu galickiemu zmysł satyryczny i pozytywny utworzywszy w średnich wiekach owe tak dowcipne bajki i powieści, jakie po wioskach kuglarze (*le jongleurs*) powtarzali wysmiewając mnichów, księży, lekarzy, uwiedzionych małżonków, wkradłszy się i do tych nawpół tylko epicznych poematów, które pod nazwą *chansons de gestes* opiewały bohaterskie czyny Bretończyków, paladynów lub rycerzy krzyżowych, natchnąwszy owe mieszczańskie romanse (*du renard, de la Rose*), w których satyra stała się bronią polityczną przeciw wspólnym przeciwnikom królewskości i średniego stanu, ożywiwszy także kroniki Villehardouina, Joinvilla, Froissarda, nareszcie po przejściowym peryodzie XVgo wieku wyraziwszy się tak w wyszukanych wierszach Ks. Karola Orleańskiego jak w grubiańskich utworach Paryżanina Villon i w naiwnych a patryotycznych komedjach Gringoire'a, znalazł w XVI wieku, już pod wpływem starożytności najzupełniejsze uosobienie swoje w umyśle genialnym o encyklopedycznej erudycji i niesłychanej śmiałości Franciszka Rabelais, który pod sprośnymi zawyczaj obrazami i wyrażeniami ukrywał zarodek najradkalniejszych reform, a ukryty maską dworskiego trefnisa kruszył kopie za wolnością myślenia i sumienia przeciw wszystkim przesądom przeszłości.

W tym samym wieku, wśród wojen domowych, wśród tymczasowego upadku moralnego i materialnego Francji, za nikczemnych synów Katarzyny Medycejskiej, ślepi naśladowcy starożytności łacińskiej i greckiej,

Ronsard i jego plejada, miłośnicy formy, bezmyślni a niezręčni artyści w poezji, zakładali nową, nieznaną dotąd szkołę *de l'art pour l'art*, a sceptyczny Montaigne podkopując gmach już zachwiany filozofii scholastycznej, przygotowywał dzieło Descartesa. Z końcem burzy domowej, ze wstąpieniem na tron Henryka IVgo, poezya zawsze czysto formalna wynajduje przeciw zgodniejszą z narodowym usposobieniem drogę, a Malherbe i Regnier, liryk i satyryk, tworzą język poetyczny, którym posługiwać się będą poeci XVIIgo wieku, a proza od czasów Kalwina coraz jaśniejsza i zwieźlejsza nabywa większego poloru z Balzakiem i Voiturem.

Wtenczas jaśnieje w całej pełni klasycznego blasku owa literatura XVIIgo wieku, naśladownicza a jednak oryginalna, grecka i łacińska z pozorów, a w gruncie, mimo dworskiego poloru, zawsze czysto francuzka, to jest pozytywna lub satyryczna, wznosząca się często do najświetniejszej wymowy z Kornelem, Pascalem i Bossuetem, odznaczająca się doskonałością formy z Racine'm, Fenelonem i Labruyer'em, ale nie mogąca w wersalskiem, niezdrowem, monarchicznym powietrzu odczuć tej prawdziwej, niewymuszonej poezji hellenickiej, nie mogąca zrozumieć ani oddać natury, licząca tylko trafnych moralistów, dowiepnych satyryków, głębokich filozofów, wymownych kaznodziei i dramaturgów, najbieglejszych mistrzów słowa, ale jednego tylko poetę Lafontaine'a, który nie poddał się jarzmu etykiety dworskiej i przyjętej wówczas akademickiej estetyki.

Ze śmiercią Ludwika XIVgo zmienia się postać rzeczy: z nim w jednym grobie pochowany klasycyzm monarchiczny. Napróżno poeci Racine, J. B. Rousseau,

sam Voltaire usiłują iść torem poprzedników; naśladowanie ich blade, bezsilne pod względem formy, wtenczas tylko nabywa jakiej wartości, kiedy jak Voltaire w sztukach teatralnych, wmiesza do dawnego żywiołu albo zapożyczone od Schakspeara efekta, albo wygłaszają klasycznym wierszem nowe, reformatorskie teorye XVIIIgo wieku. Po literaturze formy następuje literatura myśli: Montesquieu zakłada nową filozofię historyi i nową filozofię prawa — filozofię pozytywną, empiryczną, ale obfitą w trafne i głębokie spostrzeżenia, zawierającą w zarodku najbawienniejsze reformy, jakie skuteczni rewolucya francuzka; Voltaire odmładnia historyę, propaguje naukę i filozofię angielską, oswaja Francuzów z Lockem, z Newtonem, z Schakspearem, dotyka się wszystkich przedmiotów powierzchownie a tem powabniej, prawdziwy mieszczanin francuzki, lubiący wolność myślenia i sumienia, ale co chwila w atakach swoich przeciw nieprzyjawnym sobie instytucyom przebiegający miarę, śmiały reformator a zarazem płaski dworak, broniący prawa i sprawiedliwości przeciw nietolerancyi urzędowej swego kraju, a pomagający obłudnym filozofom w koronie potępiać prawo i sprawiedliwość w Polsce; prawdziwy Francuz, bo skupia i streszcza w sobie jak Rabelais wszystkie żywioły, wszystkie sprzeczności, z których się składa gieniusz narodowy, pozytywny a lekkomyślny, wolnomyślny a przyjaciel despotów, miłośnik ludzkości a przeciwnik patryotyzmu. Poezya francuzka XIXgo wieku, na którą wywarł wpływ tak ogromny, jest niejako reakcją — ale bezsilną — przeciw niemu. Dlatego wypadło nam w tem studyum dłużej zastanowić się nad jego rolą.

(C. d. n.)

ŚWIĘTO MAJOWE,

poemat

z czasów pogaństwa Słowian łużyckich

przez

ROMANA ZMORSKIEGO. *)

URYWEK PIERWSZY.

Niech duchy ojców, błędzące
W górze, w mgły tumanach sinej,
Cieszą się, widząc swe syny
Mężnie zakon ich pełniące.

Niech się cieszą, że wraz z nimi
Nie padła święta ich wiara,
Stary zwyczaj i cześć stara
Na zbroczonej krwią ich ziemi.

CHÓR MĘZKI:

Tak! Niech duchy ich, błędzące
W górze, w mgły tumanach sinej,
Radują się, widząc syny
Mężnie zakon ich pełniące.

Radują się, że wraz z nimi
Nie padła święta ich wiara,
Stary zwyczaj i cześć stara
Na zbroczonej krwią ich ziemi.

JEDNA Z KOBIET:

Ach! lecz nikt że z was nie pyta:
Co się? co się z nami stanie?
Psiarnia Niemców krwi nie syta,
Jeżli zwietrzy tu nasz zbór
I napadnie niespodzianie?...
Tu z dala naszych manowców,
Z dala naszych leśnych nór,
Zaskoczeni wroga zdradą,

Cóż poczniemy z sobą? cóż?...
Jak bezbronne owiec stado,
Musim szyje dać pod noż
Krwawych naszych prześladowców!

CHÓR KOBIET:

Ach tak! Cóż poczniemy? cóż?...
Jeżli zwietrzy wróg nasz zbór?...
Tu, z dala naszych manowców,
Z dala naszych leśnych nór,
Cóż poczniemy z sobą? cóż?...
Zaskoczeni wroga zdradą?...
Jak bezbronne owiec stado
Przyjdzie szyje dać pod noż
Krwawych naszych prześladowców!...

KAPŁAN:

I zkadże ta bezbronna trwoga?...
Cóż nada się trwożyć?...
Tyle nas każdemu pożyć,
Ile w woli Boga!
Śmierć i życie w Jego dłoni.

*) W tece ś. p. Romana Zmorskiego, znakomitego twórcy „Wieży siedmiu wódzów“ znalazły się podane tu urywki rozległego poematu Słowiańskiego; umierający poeta wierzył, iż tem dziełem, którego przedmiot tak ukochał, zostawi swemu narodowi po sobie trwałą pamiątkę. Częstkę rękopisu w bardzo zmienionej z powodu cenzury formie podał był dawniej *Tygodnik ilustrowany*; tu ogłaszamy go po raz pierwszy wiernie i w całości, otrzymawszy go od wdowy po ś. p. Romanie, pani Tekli Zmorskiej.

(Przyp. Red.)

*

On niedozwoli,
Bez jego woli
Z człowieka skroni
By upadł włos!

Lecz komu On
Przeznaczy zgon,
Czyż może śnić
Przed nim się skryć?
Omylić Jego cios?

W wnętrznosciach ciemnych
Skalistych wzgórz,
W głębiach tajemnych
Burzliwych mórz
Jego cie ramie
Znajdzie — i złamie!...

Wiec niechaj bezbożna twrwa
Nieobraża próżno Boga!

Lecz jak dzieciom tych przystało,
Co w świętości swych obronie
Legli na głazach ofiarnych —
Ufni Bogu, bez trwóg marnych,
Po starych Ojców zakonie,
Obrzęd nasz pocznijmy śmiało!

(Na skinienie kapłana młodzieńcy niosący drzewo majowe
zatykają je w ziemi.)

CHÓR OGÓLNY:

Jak dzieciom ojców przystało,
Co w świętości swych obronie
Legli na głazach ofiarnych
Ufni w Bogu, bez trwóg marnych —
Po starym Ojców zakonie,
Święto wiosny sławmy śmiało!

KAPŁAN:

Oto już zielone,
Cudnie przystrojone,

Majowe drzewo się chwieje!
Dalejże! wesole!
Przy niem na około
Zawiedźcie pieśni i reje! *)

Zaspiewajcie! wyskoknijcie!
Weselcie się cudnej młodości!
Z czary życia rozkosz pijcie!
I kwiaty zrywajcie miłości!

Bo gdy śniegi spadną,
Róże lic pobladną,
Daremnie się smuć,
Błogich dni nie wrócić!

CHÓR OGÓLNY:

Zaspiewajmy! wyskoknijmy!
Weselmy się młodości!
Z czary życia rozkosz pijmy!
Zrywajmy kwiat miłości!

CHÓR DZIEWCZAT:

Bóg nam młodość daje —
A jak śnieg z tych gór,
Prędko młodość taje
I wdzięk ziemi cór.

CHÓR MŁODZIENCÓW:

Kto się nie weselił,
Szczęściem się nie dzielił,
Kto wieku nie użył,
Bogom się zadłużył!

CHÓR OGÓLNY:

A więc po zwyczaję,
Przy zielonym maju,
Brzmij pieśni wesole!
Plasajmy do koła!
Przy zielonym wonnym maju!

(Chwytają się za ręce i otaczają tańcząc drzewo majowe.)

(Dok. n.)

*) Reja — narodowy taniec łżycekich Serbów.

K A L E J D O S K O P

obrazy czasów i ludzi

przez

BERLICZA SASA.

(Ciąg dalszy.)

Już switać zaczęło, kiedym znużony pielgrzymką i gwałtowną walką wewnętrzną, padł bez zmysłów prawie u podnóża posagu kamiennego Matki Boskiej, wznoszącego się od kilku wieków w jednym z najdzikszych wąwozów Sierry Moreny, której orzeł tylko lub zuchwały bandolero gór mieli tory swoje. Straszne to było miejsce, najeżone rozpaczliwym, że tak powiem, nieładem skał nagich, to zawieszonych w powietrzu bez widomego punktu oporu, to wypartych z gniazda i rozmiecionych olbrzymią jakąś siłą rozgromu i zniszczenia. Żadne tam drzewo nie rośnie, żaden źródł nie dyszy. Nigdzie zieleni ni kwecia! Nigdzie ochłody po znoju, spoczynku po trudzie, bo tam skwar pali we dnie, gad jadowny zabija w nocy, lub stokroć gorszy od gadu — człowiek napada!

Było to miejsce pamiętne w dziejach Hiszpanii. Kiedy Ferdynand III, syn Berenguelli i Alfonza IXgo, *) w r. 1235 Kordubę oblegał, Aben Hud, sułtan Sewilli, posłał wojsko na pomoc obleżonym spółwyznawcom swoim. Lecz nieświadomi miejscowości Maurowie zabłą-

kali się w labiryncie jarów Sierry Moreny, gdzie napa-
dnięci przez chrześcjan wyginęli do nogi. Wtedy to
kazał Ferdynand III wzniesić na pamiątkę odniesionego
zwycięstwa ów posąg Bogarodzicy, u stóp którego zastało
mię wschodzące słońce znanego trudem i boleścią.

Gdym przyszedłszy do siebie zdrowiej osadził po-
zycę moją, pojąłem, że te rozpaczliwe wałowanie się
moje bez celu nie było środkiem stawienia czoła losowi
i przezwyciężenia zlej doli. Ponieważ nie chciałem po-
wrócić do Grenady, a do Korduby nie mogłem, należało
jać się czegoś takiego, coby nie dozwoliło umrzeć z głodu
i dziwaczemu donkichotyzmowi kres położyć. Byłem
młody, silny, wytrwały. Czuję, że mi na mężwie nie
zbywa. Czemuż — pomyślałem — nie miałbym zaciągnąć
się do wojska i sztandarom ojczystem życie poświęcić?
Stanąwszy twardo na gruncie takiego postanowienia do-
znałem ulgi i uspokojenia. Otucha wstąpiła do duszy
i przyszłość uprzejmiej się do mnie uśmiechnęła. Pomo-
dliwszy się tedy przed statuą Matki Boskiej i poleciwszy
Jej miłosierdziu moją biedną Carmen, oraz samego
siebie, wyszedłem spiesźnie z wąwozu i wkroczyłem na
drogę do Andujar.

*) Króla Leonu.

Upał był nieznosny. Niby zwierciadło Archimede-
desa, słońce paliło ziemię, jakby ją w popiół obrócić
chciało. Na moje szczęście droga, którą szedłem, wiodła
przez miejsce obfite w strumienie i ocienione laskami
pomarańcz, cytryn, granatów i sykomorów. Wysokie
aloesy, myrty i cyprysy długimi rzędy nad samym praw-
wie gościnnym rosnące udzielały także cienistego schro-
nienia. Z powodu, że tamtędy przechodzili całemi par-
tyami mulnicy z Jaén do Ciudad-Real z ładunkiem
towarów nie zawsze sumiennie nabytych (o czem wawoży
Sierry wiedzieli najlepiej), spekulanci, wietrzący zysk
pewny, nie ośmieszali się osiedlić się tam w posadach
i ventach, gdzie pod firmą wina Valdepennas prze-
dawali za niemiłosierną cenę fałszowaną lurę, jakąś
a psim kotletom i potrawkom ze szczurów kazali udawać
szlachetniejsze płody kulinarnego mistrzostwa. Lud po-
dróżny, nieświadomy tych szczegółów i, jak wiadomo,
niebardzo wykwinny w swoich alimentarnych zachcian-
kach, zjadał smaczno, co mu podawano, wypijał w naj-
lepsze, co mu nalewano, a chociaż bywało zżymał się
czasami w obec przesadzonej cyfry pieniężnych wymagań
posadera, nie płacił.

Pierwsza wenta, jaką napotkałem, stała na pa-
górku, przyparta do lasku palm szerokoliciśkich, oliwów
i pomarańcz. Była to kiedyś budowa czworokątna obszer-
nych rozmiarów murytańskiego stylu, rodzaj strażniczego
zamku. Lecz wieki obaliły w wielu miejscach obwodową
ścianę. Z baszt narożnych pozostały jeno kupy rumowisk.
Jedna tylko wchodowa brama w arabską trefle szeroko
zasklepioną i formującą rodzaj krytego kurytarza zach-
owała moc swoją pierwiastkową i formę. Ona to właśnie
ulegając przewrotności losu musiała biedna służyć za
ventę kontrabandy i bandollerom.

Kiedym się zbliżył do niej, słońce było jeszcze
wysoko, chociaż metę południa dawno już przekroczyło.
Przed ventą stało kilka mułów z dzwoneczkami, obłado-
wanych towarami i uwiązanych do zagrody. Kilku ludzi
krzątało się koło nich. Myny ich surowe nie wzbudzały
zaufania, a trabuco (ostro nabite, zapewne) zawieszono
przez plecy, usprawiedliwiało poniekąd tę nieufność. Sam
dostojny ventero, niezrównany mistrz łowiectwa na
cudze maravedis, zadowolniony widąc polowaniem dnia
tego stał z rozkwitłą twarzą u wnijscia gospody, wypa-
trując ciekawie ażali nowy gość jaki, z tych co zwal
grubą zwierzyną, nie przybywa.

Pojawienie się moje było rażącym kontrastem do
złotych mar korzyści, jakimi pożądlivość swoją zabawiał.
Strój zaniedbany, prawie ubogi, jaki mnie okrywał — sama
wreszcie ta okoliczność, że przybyłem pieszo bez ręcznego
nawet zawiniątka, były dostatecznym powodem dla go-
spodarza venty do okazania mi lekceważenia, jeżeli nie
pewnego rodzaju pogardy. Na moje słowo pozdrowienia
nie raczył odpowiedzieć. Pytanie moje: czy znajdzie u niego
posilek i kąt dla spoczynku, puścił mimo uszu, jak
gdyby głosu mego nie słyszał. Porywczy z natury i nie
znoszący obelgi, wyszedłem z siebie i zwróciłem gniewem,
a że stojący na progu ventero tamował mi wejście
do środka, takiego mu dałem pięścią szturchańca pod
bok, że skreślił kozła i krzycząc w niebogłosey: *Santa
Madre de Dios!* stoczył się po kamiennych schodach aż
na sam środek podwórza.

Śmiech głośny mayoralów krzątających się około
swoich mułów, wywołał resztę koleżków z venty. Wy-
biegli hurmem nieco podochoceni, a ujrzawszy, jak do-
stojny ventero skutkiem impulsu mojej pięści, swej
horyzontalnej rotacji dokonywał, wzięli się za boki
i przeraźliwymi okrzykami ironicznego zadowolenia tę scenę
zabawną witali. Nie potrzebowałem wyraźniejszego do-

wodu, niechęci, jaką wywołał niesumiennością swoją. Do-
wiedziawszy się czyjeż mianowicie pięści byli obowiązani
za to komiczne intermedium, wszyscy mayorale
oraz inni podróżni otoczyli mnie oznakami najżywszej
sympatii, podziwiali się i sprężystość ducha, w końcu
wprowadzili uroczyście do venty, usadowili na ławie
kamiennej i zaczęli pić kolejno moje zdrowie, przema-
wiając do mnie słowy względu i życzliwości.

Nie mam potrzeby mówić, że anim się spodziewałem
anim życzył sobie takiej owacyi. Uznanie ludzi więcej
niż podejrzaney cnoty nie mogło pochlebiać miłości wła-
snej uczciwego człowieka. Postanowiłem wszakże stłumić
w sobie wstępną, jaki czulem do nich i wywiązać się
z roli głosem rozsądku zaleconej, ku ogólnemu zadowo-
leniu prześwietnego zgromadzenia bandollerów, ra-
terów, zagalów, kontrabandy stanu i mayoralów.

Ponieważ z łaski zacnego Dona Perez'a Vascon-
vallos miałem przy sobie trochę kieszonkowego grosza,
kazałem podać kilka sporych flasz Carcavelha i Val-
depennas z dodatkiem obfitej zakąski a także cigarri-
łów i tytoniu podostatkiem, co gdy przyniesionem zostało,
ofiarowałem uprzejmie nowym przyjacielom moim.
O mało nie ogłuchłem od hucznych objawów ich wdzie-
czności. Okrzykom, tupaniom, ekstatycznym manifesta-
cyom zadowolenia nie było końca.

— *Caramba!* — wołał bogdaj czy nie bandollero *)
Sierry Moreny, uderzając o rękęję szerokiej navaja
sterczącej mu za pasem. — Patrzcie go! Wygląda jak
dziecko, *casi un nino*, a jaki zuch w skórce jego, chodzi!

Viva! — powtórzono z zapalem i zadzwoniły
czasze w cześć moją.

— *Sennor caballero!* — ozwał się jeden z tłumu
do mnie, wysuwając się przebojem naprzód, za pomocą
rzesistych szturchańców, którymi hojnie tamujących mu
drogę obdzielał. — Nazywam się Gil Galego z Andu-
jar i jestem *hijos de esta ciudad*. Nie ma tam takiego,
coby mnie nie znał, bo żadna *corrida* nie obejdzie się
bezemnie...

— Jesteście więc — zapytałem — matador'em
albo picador'em andujarskiego cyrku?

— *No sennor!* *) — odpowiedział — ale to ja
dostarczam miastu byków ze stad *mas acreditadas de
España*. *) A przytem kształcę matadorów, boć i sam
byłem nim kiedyś. Dotąd pamiętają Gil'a Galego
w Oviedo i Valladolid! Był czas, że go witały takie
okrzyki i oklaski, kiedy się w cyrku ukazał, że aż
bywało trząse się ziemia, *tiembla la tierra!* Ale dość
o tem! Co było, nie wróci. Jestem stary a więc do
niczego. Prędko, kiedy zapytasz gdzie Gil Galego?
odpowiedzą tobie: *es muerto!* Taka rzeczy kolej! Ale...
coż miałem rzec?... a — a — czy nie zechciałbyś zostać
matador'em? Piękny to zawód i pełen sławy! Jesteś
młody, zręczny, odważny i silny (o czem boki i żebra
dostojnego Lopez, gospodarza tej venty, mogłyby naj-
lepiej zaświadczyć). Wszystko za tem przemawia za tobą,
sennor caballero...

Nie skończył jeszcze, aż wpada nagle sam gospodarz
Lopez i wrzając wściekłością za owego serdecznego
szturchańca, jakim go uraczyłem, sunie się ku mnie,
grożąc pięściami i miotając straszliwe przekleństwa.
Sądził zapewne, że goście venty, wszyscy dobrzy zna-
jomi, staną po jego stronie i dopomogą do energicznej
ze mną rozprawy. Kosztował więc już przedwcześnie

*) Bandyta.

*) Nie! panie.

*) Najwięcej wziętych w Hiszpanii.

rozkoszne słodczye odwetu i zemsty, których był pewnym zupełnie. Jakież musiało być jego zdziwienie, gdy zamiast sympaty i społeczenia znalazł rażą sprzeczność w usposobieniu tych, na których liczył. Straszliwa wrzawa rozległa się w tłumie. Kłatwy i obelgi posypały się nań gradem.

— Precz ztąd! zdzierco! szachraju! łotrze! *Fuera el bribon!* *) *fuera el perro!* *) — wołano przeraźliwie. Gil Galego, któremu nie wiem z kąd wlaźło do głowy zrobić ze mnie koniecznie matador'a i zostać tym sposobem spółnikiem materyalnych moich sukcesów na tej drodze, podniecał, chcąc się mi przysłużyć, żywioły wybuchu, drażnił dziką porywczosć tłumu i obelgę słowa usiłował zastąpić obelgą czynu, napaścią wszystkich na jednego, krwawą być może nawet katastrofą. Byli już tacy, których się pięście ścisnęły konwulsyjnie i których źrenice złowrogo płonęły. Byli tacy, którym drapieżność tygrysa nastroczała mordercze zachcianki. Nie w jednym ręku obnażona *nawaja*. *) Niejedne *trabuco* *) było w pogotowiu. Nieszczęsny Lopez tem bardziej się powyższym stanem rzeczy przeraził, że wiedząc z kim miał do czynienia, czuł się realnie w niebezpieczeństwie. Nie był to już ten sam pyszałek, gbur pewny siebie, którego musiałem nauczyć *mores*. Korny i drzący, błady i zbytkiem podłości nikiemny, stał on z pochyłoną głową, miał swoje *sombbrero* *) w ręku i błagalnem wejrzeniem wzywał przebaczenia i litości.

Jeszcze jedna kropla, a czara byłaby przepełniona. Nie było więc czasu do stracenia.

— *Sennores!* — rzekłem, powstając z ławy, do koła której ciskał się tłum moim winem, moją zakaską i tytoniem moim ujęty. — Dajmy pokój tej sprawie! Nie warta ona, żebyście do niej tyle wagi przywiązywali. Nie mam już najmniejszego żalu do *ventera*. Odpłaciłem mu dostatecznie za jego niegrzeczność. Kwita zatem pomiędzy nami. Obydwa my, ja i on, odnieśliśmy korzyść niemałą z tego zdarzenia. Ja, że was poznałem i przychylnosć waszą pozyskałem. On, że się nauczył być nadal grzeczniejszym dla podróżnych, jakiegoby stanu nie byli — albowiem obowiązkiem jest jego być grzecznym dla tych, których groszem tak swoje pyski wykarmił i takiego wyhodował brzuszka...

Śmiech homeryczny przebiegł po tłumie i zle jego porywy uśmierzył. Trywialność końcowej frazy dokazała cudu. Medal się odwrócił na drugą stronę. Po burzy cisza nastała. Odzyl przerażony *ventero*. Otucha wstąpiła do duszy jego, (jeżeli ją miał). Podskoczył do mnie z oznakami najżywszej wdzięczności. Chwycił za ręce i ucałował. Potem rzucił się w gęszcz tłumu, który miednym łbem swoim gdyby klinem jakim rozsadził. Tam się rozsypał w ukłonach, zalecankach, pochlebstwach, podłościach słowa, spojżenia i gestu. Gruby sarkazm i wzgardliwe politowanie były mu na to jedyną odpowiedzią. Gil Galego, ów przesławny mistrz matadorów i mój stronnik gorliwy posunął dalej jeszcze rubasznosć wstrętu, jaki czuł do niego. Kiedy się dostojny Lopez zbliżył doń w susach i kurbetach, sypiąc słówka cukrowe i ścieląc się przed nim w najpokorniejszej *submissyi*, kopnął go nogą z taką siłą, że nieszczęsny pehnięty w górne strefy polotu wykreślił kilka młynków w powietrzu, nim się rozciągnął na kamiennym pawimencie *venty*.

*) Precz z hołyszem!

*) Precz z psem!

*) Rodzaj sztyletu.

*) Strzelba.

*) Kapelusze.

Okoliczność ta podwoiła jeszcze wesołe usposobienie tłumu. Flasze, kufle, dzbany zaczęły się znowu pieniać trunkiem. Kulejąc po świeżej przygodzie zaferowany Lopez biegał od stołu do stołu, zalecał, namawiał, nalewał. Tłum rozstrzebił się na grona, pary, jednostki. Gil Galego perorował o swoich cyrkowych tryumfach. Jedni słuchali, drudzy sami o czemś rozprawiali lub skłoniwszy trunkiem obciążone głowy drzemali. Jakis *mayoral* porządnie cięty zawodził ochrypłym głosem przerywanym bachicką czkawką, *stancie* z *Romancera* *Era et caballo morcillo etc. etc.*

Drugi wtrzął mu na niestrojnej gitarze niezgodnym rytmem i z innego tonu. Owdzie toczono spór żywy przebiegając wszystkie szczeble frazeologii motłochu, wszystkie intonacje skali zapalczywości i oburzenia. Dalej w najświatlejszym kącie *venty* ledwie dostępnym dziennemu światłu szkicowały się niepewne kontury, sceny godne flamandzkiej szkoły. Dwóch podróżnych obcych pijanemu tłumowi siedziało przy stole. Trzeci stał oparty o filar spiralny, co w tem miejscu arabską gzymsaturę podpierał i palił *cygarillo*. Wszyscy trzej jakby zaczajeni na zasadzce śledzili okiem i uchem ruchy i gwary tłumu, rzekłby kto, że ważnym jakimś interesem badania zajęci. Wyrazu ich oblicza dostrzedz nie mogłem, bo jakem już mówił był to najciemniejszy kąt *venty*. Co do stroju nie miał wyłączonego charakteru odróżniającego rażnie stan i powołanie. Był to właściwie strój fantastyczny, *vestida al capricho*, jak mówią Hiszpanie, mieszanina *vestmentalnych* szczegółów, nieodpowiednich sobie, a więc nie dających się objąć żadnym stanowczym wnioskiem. Przebijało w nim wszakże coś militarnego, ba nawet arystokratycznego pomimo niewykwintności i skromnej prostoty jaką się odznaczał.

Zostawiony sam sobie, (bo dostojny Gil Galego raczył mnie nakoniec uwolnić z pod opieki swojej), zająłem się *con amore* śledzeniem za tymi ludźmi, których przytomność w tem miejscu i zachowanie się pobudzały ciekawosć moją. Mrok wieczorny zatopił ich grubszym jeszcze cieniem. Zapalono wprawdzie lampę pod sklepieniem *venty*, lecz światło jej pozbawione życia i promienistości nie sięgało daleko, do nich zaś wcale nie dochodziło. Kiedym o nich Lopez'a zapytał, zniżył głos do dyapazonu szeptu i odpowiedział oglądając się niespokojnie:

— Nie znam ich *señor Caballero!* Nigdy u mnie dotąd nie byli. Nie są to jednak prości ludzie. Przyjechali na dobrych koniach, *todos a caballo* — ale z kąd? dokąd? i poco jadą? — niewiadomo. Jeden z nich podobny jak dwie krople wody do Jego Wysokości Księcia Pokoju, któremu widział niedawno w Aranjuez podczas ostatniej *Corrida de novillos* *) i gdybym nie wiedział, że taki pan nie odbywa podróży konno i bez licznego orszaku, myślałbym prawdziwie, że to on tam siedzi w kącie mojej *venty*.

Słowa te podwoiły jeszcze ciekawosć moją. Nie dopuszczałem ja, ma się rozumieć, żeby się w liczbie nieznanymi przybyszów znajdował ów sławny Emanuel Godoy, Książę Pokoju, wszechwładny ulubieniec dworu — a jednak nie mógłbym zaprzeczyć temu stanowczo. Wieści kraczące po kraju, a które się w Grenadzie i Kordubie o moje uszy obily, upoważniały poniekąd do przypuszczeń najmniej nawet prawdopodobnych. Opowiadano o niesnaskach u dworu, o nieporozumieniach wichrzących harmonie królewskiej familii. Mówiono o jakiejś skandalicznej scenie w Eskuryalu, w skutek której książę Asturyi, Ferdynand, miał być aresztowany i oddany pod

*) Igrzysko z bykami nowymi.

sąd za pokuszenie się na życie matki i na królewską władzę ojca. Głos ogólny uniewinniał księcia, lecz tenże głos potępił surowo Emmanuela Godoy, ulubienca rozwieżłej żony Karola IVgo, najnieodolniejszego z mężów i najnieodolniejszego z monarchów. Jemu to, temu bezczelnemu parweniuszowi, przypisywano niecną intrygę przeciw następcy tronu, który mu jawnie swoją wzięłość i nienawiść okazywał. Wieści takowe spływając z wyższych sfer społeczeństwa do narodowego poziomu potęgowały się, zaogniały i hyperbolą podsypane roznosiły po kraju niepokój, oburzenie, zamęt, usposabiając umysły do ostrego sarkazmu względem króla, do wzgardliwej

satyry względem królowej i do nienawistnych zapalów względem Księcia Pokoju, którego oskarżano o występne nadużycie władzy ze szkodą godności tronu, kraju i narodu. Nieraz mi się zdarzyło słyszeć groźne demonstracje przeciw niemu, złorzeczenia, kłatwy i pogrożki. Byli tacy, którzy widzieli w tym człowieku złego demona Hiszpanii, Judasza gotowego zaprzedać ją odartą i znieważoną. Według Dona Perez'a Vasconvallos ten coby go zmiotł z tego świata dopełniłby czynu istnie obywatelskiego i zasłużyłby na wdzięczność ojczyzny.

(C. d. n.)

Historyozofia J. W. Drapera.

(History of the intellectual developement of Europe, by John William Draper.

M. D. L. L. D. in two volumes, London 1864)

przez

WOJCIECHA DZIEDUSZYCKIEGO.

Człowiek przeświadczony o tem, że jest panem i władczą przyrody, oddawna ciekawy swoich przeszłych i przyszłych losów; a że podanie czasu niedawnych tylko lat sięgało, a że przyszłość całkiem się przed ludzkim wzrokiem ukryła, szukano od początku za wyższą jakąś mądrością, któraby mogła wskazać i ojców i wnuków dołą, w jednej ogólnej formule objęta. I w tem początek historyozofii.

Historyozofia jest zatem jedną z najdawniejszych nauk i nie było jakkolwiek uobyczajonego narodu pozabawionego historyozofii, bo każdy naród już we wierze swojej posiada klucz do praw rządzących dziejami. Egipcyanin dawny widząc i nędzę i wielkość ludzką, dzieje do roku przyrównał i nazwał chwilę sobie współczesną „zeszłem latem pustyni“ ukrywającem w swej piersi przyszłe urodzaje ongi boską ręką posiane. Niedługo Har szczęściodajny władał ludźmi i ich pouczał, potem znikł, ale kiedyś wróci Har-Machis, Har nowy, aby znowu świat uszczęśliwić.

Hindus wiedział o tysiącznych zniszczeniach i stworzeniach świata, wiedział o tem, że nowy świat dobrym, a złym stary bywa, Grek wspominał złoty wiek miniony i przyszły powrót rządów boskich, Żydówin za utraconym rajem i przyszłym wdychał Messyaszem, a świat chrześcijański już witał wielkiego odnowiciela wszech rzeczy przez wszystkie narody oczekiwanego i radując się nim ostatniego czekał sądu. Chrześcijańską to myśl Bossuet streścił, kiedy oczom Francyi Ludwika XIV wielką dziejów epopeję przedstawił: „Grzech pierwszy dalsze grzechy wywołuje, brat zabija brata, synowie Boga ukochali córę ciemności, Pan się zniecierpliwiał i oblał ziemię powodzią, jedną tylko sprawiedliwych rodzinę zachowując na przyszłe świata nasienie a wstrząśnienie przyrody przedpotopowej jest tak wielkie, że się odtąd skróciło życie ludzi. Oto akt pierwszy dramatu.“

„W drugim akcie nowy potop duchowych ciemności świat zalewa, bałwochwalstwo i duma władają sercami ludzi, co się wieża Babel darmo o niebo kuszą i co za karę tego tracą wspólność języka, odtąd w tysiącu różnych narodów tysiąc różnych błędów wyznając. Jedna tylko rodzina zostaje wierną Panu i rozmnaża się w naród, na górze Synaj otrzymuje prawa wśród gromów przez samego twórcę głoszone i zakłada państwo, co wzrasta i słabnie wraz ze wzrastającą i słabnącą wiarą.“

„Potem straszne burze pędzą Izraelitów na cztery strony świata, by nieśli swoją wiarę między poganym,

a których mędrcy widzący światło Wschodu, Platon i Aristoteles przeczuwają przybycie „słowa“, któremu torują drogę świeccy zdobywcy: Aleksander, Pompejusz i Cezar, a które się rodzi w stajence i umiera na krzyżu, by za pomocą kilku rybaków i nędzarzy obalić potęgę światowładców. Oto akt trzeci.“

„W czwartym znów akcie kościół walczy, zwycięża i rozszerza się jako niezachwiana opoka Piotrowa i świętych stolica, a piąty akt ma dopiero nadejść przy odgłosie surmy sądowej.“

To obraz jednolity i wielki, ale nie starczy na wytłómaczenie dziejów. Wysłuchawszy kościelnego mówcy, pytasz się mimowoli o to, dlaczego żyli Tamerlan i Dżengischan, po co Mohamed powstał, czemu najnowszy fakt rewolucji wytłómaczyć? Pytasz się o to dlaczego sztuki i nauki śniły przez całe wieki średnie, dlaczego wciąż zmiennem buchają światłem i dla czego to w jednym to w drugim rozkwitają narodzi? A na to tylko świecka nauka może odpowiedzieć.

Wiadomo, że się jak dotąd nie sprawdziła przepowiednia Bossueta i że ludy protestanckie nie tylko nie popadły w powtórne barbarzyństwo, ale nawet zarówno potęgą jak obyczajami i oświatą przodują katolikom. Nie dziw więc, że u protestantów trzeba w tem stuleciu szukać najznakomitszych historyozofów Hegla, Buckle'ya i jak chce wielu, Drapera.

Heglowi świat cały był pośredniczącym ogniwem między twierdzeniem i przeczeniem. Byt — oto twierdzenie, nicość — przeczenie, a powstawanie, tworzenie się, to owo trzecie najwyższe pośrednictwo. Czyli raczej: Ja — to twierdzenie, nie ja — to przeczenie, a świadomość czyli świat rzeczy znanych, oto pojednanie.

I dzieje musiały się w tej formułce pomieścić. Wszak one właśnie niczem innym nie były, jak tylko pojednaniem samowiedzy wszechludzkiego ducha, z obcym a nieznanym żywiołem tego, czego nie ma, tego, co po za duchem leży. Ztąd u początku dziejów musiał z konieczności leżeć stan szczęśliwy, wiek złoty, w którym ludzkość nieświadoma jeszcze wszelkiego przeczenia śniła w rajskiej i szczęsnej jedności. Stan ów poprzedził dzieje, bo dziejom i życiu potrzeba walki i zwycięstwa, a one tylko możliwe ze zjawieniem się indywidualizmu, narodowości i różnorodnej nienawiści. Dopiero kiedyś spojrzysz ludzkość na siebie myślącem okiem, przejrzy konieczne

źródło wewnętrznych niesnasek, przemoże wroga i stanie się już niezaprzeczonym Bogiem.

Taki to był wielki zarys historyzofii nakreślony śmiałą ręką Hegla. I mistrz sam i niezliczeni uczniowie usiłowali ciało nadać tej postaci, faktami dziejów wypełnić filozoficzne ramy. Nie powiodło się, a Buckle w inną stronę skierował baczność pozytywniejszej i późniejszej połowy naszego stulecia, odnawiając i uzupełniając teorie pojedyncze Monteskiusza o wpływie klimatu i otoczenia na społeczeństwa ludzkie i stawiając teorię przeczącą zupełnie wszelkiej wolności woli. Na jego to barkach stanął Draper, lekarz i fizyk Amerykański.

Dzieło Drapera znakomicie napisane, a Draper sam okryty wawrzynami zdobytymi na polu nauk przyrodniczych. To też nie małą popularnością cieszy się „Historia rozwoju umysłowego Europy.” Jest to jedna z tych książek, co nie czytelników tylko, ale wiernych posiadają czytelników.

O tej to książce zamierzam pomówić; a że tylko o znajomych można sądzić, wydać, zapoznam przeto przede wszystkim czytelnika z treścią i tendencją tego dwutomowego dzieła.

(C. d. n.)

MECZENNICZY FANTAZJI,

NOVELLA

z niemieckiego

LUDWIK FOGLEAR.

(Ciąg dalszy.)

Wkrótce otwarły się drzwi więzienia, a do skromnej celi Fryderyka weszła w ciemnym stroju z posępnym wejrzeniem Alma.

— Zuzanna — rzekła do zdumionego tym widokiem — przysłała mnie, by panu wolność oznajmić, ale sposób, przez który wolność otrzymałeś, pozostanie jej tajemnicą, pan zaś natychmiast wydalić się musisz — tej godziny!...

Fryderyk skamieniał. Począł się gubić w domysłach, wspomnienia tego wieczoru, zimny a tak słodki tym razem Orbes, który go zaciągnął tam, gdzie wiedział że jego oburzenie i zapal zerwie wszystkie tamy osobistych względów, to wszystko migało mu przed wzrokiem duszy. Poglądał na opartą na ramieniu swoim pełną cierpienia Alnę, dziwne przeczucia się w nim ozwały i szepnął rzewnie:

„Żegnajcie dobrzy moi!”

Jak na głowie siostry, położył rękę na głowie dziewczęcia, co u nóg jego padło. Dosłyszano kroki dozorey, Fryderyk podniósł siłą woli Alnę i odprowadził do pojazdu. Tam jeszcze szepnął: „Bądź zdrowa!” i znikł na zawsze dla siebie. Fryderyk patrzył za niknącym powozem żegnając się z każdym domem, z każdym kamieniem.

Wtedy Orbes się zjawił. Poszli razem.

— Wiem, — rzekł po długiej chwili — że pan nas opuszczasz, pozwól bym nieco pomyślał o przyszłości twojej, o której rzadko myślę umięja poeci. Ten list poleca pana do domu konsula hamburskiego w Bordeaux, oby się panu tam wiodło — „szczęśliwie!” Nie jest to żadne dobrodziejstwo. Owszem zobowiąże pan nas najmocniej, oddając swą znaną pomoc i talenta tej przyjaźnej mi rodzinie. Będiesz przyjęty z otwartemi ramionami. Niechaj cię Pan Bóg prowadzi!

Ścisnął rękę zdumionego Fryderyka i odszedł w zaułek ulicy.

Tak jak skazanemu na śmierć wolno w ostatnich godzinach, jakby przez szyderstwo, użyć wszystkiego, by mu te godziny jeszcze trudniejszymi uczynić — tak róg obfitości raz jeszcze posypał się nań z serca ludzkiego, by mu przypomnieć, co za sobą zostawiał!

„Zachodź wspaniałe słońce, uczcili cię mało, Nie znali, tylko, pożytek i twych blasków,

„Niestrudzone i ciche nad strudzonymi

„W blaskach daremnych schodziło!...”

Ten akord z dawniejszych jego pieśni brzmiał mu w duszy coraz żałośniej, coraz serdeczniej, ostatnie domy gubiły się za nim i droga skalista była przed nim. Cała cudowność letniej poświaty ozlacała pola, wonne tchnienie powiało po lasach i błoniach, za nim jeszcze błyszczało miasto otoczone wstęgą rzeki Menu, na której krążyły śnieżne maszty rozlicznych statków i mówił do siebie odchodząc:

„W świetle i woni toną — i miłość i żal,

„Ale spłoszony błagalną prośbą

„Uchodź czar! i ciemno i smutno do koła,

„A pod tem niebem jakżem ja sam!...”

Fale czasu przeszły po tych zdarzeniach i pokryły je zapomnieniem, ale nieuleczone sposepnienie opanowało dom Gontarda. Rozumny Jakób łatwo się domyślił powodów nagłego odejścia Fryderyka. Orbes był jedynym człowiekiem, z którym o tem mówił, ale jego stosunek do Zuzanny i Almy stał się poważniejszy, surowszy, a salony jego, niegdyś ognisko intelektualne i artystyczne, ulubiony punkt zborny patrycyuszowskiej arystokracji, w których i Goethe nieraz tak chętnie przebywał czasu, teraz stały pusto i grobowa cisza zalegała komnaty poświęcone niegdyś uczczeniu greckich pomników.

Nawet lubo rodzicom hałaszenie dzieci ustało, bo je jako doroślejsze do zakładu szkolnego oddano, tylko sprawy handlowe były jedynym zajęciem i o nich tylko słychać było. Jakób marzył oddawna, by siostrę swoją bardzo mu drogą, wydać za najmilszego towarzysza swego — Orbesa, jakkolwiek Alma nigdy cienia sympatii postrzedz nie dała dla „trzeźwego” doktora. Zuzanna wymówiła się stanowczo od wszelkiego wpływu w tej sprawie, która wcale jej się nie zdawała korzystną. Tak więc obaj panowie ułożyli tę rzecz między sobą, jak się układa interes kupiecki...

Dzień oświadczeń niemal już miał być wyznaczonym, gdy przyszedł Orbes dla umówienia się o resztę. Został Gontarda samego i w pomieszczeniu niezwykłym. Jedno spojrzenie przekonało go, że zaszło coś nadzwyczajnego. Ale wyćwiczony badacz, przywykły by do niego przychodziło ludzkie zaufanie, nie dał się zbić z toru,

lecz z wolna zbliżał się do celu. Po kilku słowach zrozumiał, że Gontard go nawet nie dosłyszał, ale wzrokiem błędnym utonął w księdze rachunkowej niespokojny, pobladły, drżący...

Orbes powtórzył uczynione pytania, ale Jakób powstawszy przeszedł się dużymi krokami po pokoju, wreszcie stanął jak wryty i rzekł:

— Czy chcesz się doprawdy ożenić — z siostrą... żebraka?

— Nie rozumiem cię!

— Więc czytaj!

Podał mu listy z Nowego Yorku. Zawierały doniesienie o upadku jednego z głównych tamtejszych domów handlowych, któremu całą agencję powierzył był Gontard.

Orbes pobladł i wypuścił kartkę.

Jakób patrząc przed siebie powtórzył ponuro:

— Tak, jestem żebrakiem!

Upadł w krzesło. Kobiety właśnie wybierały się w podróż do kąpiel, bo osłabienie Zuzanny zaczęło zatrwajać przybierać rozmiary, kazano jej nad morzem północnem u wód przepędzić czas jakiś. Już spakowano i miały wyjeżdżać po obiedzie. Zapukano do drzwi, wszedł Orbes prowadzący pod ramię Jakóba, na którego twarzy mimo całej mocy jaką miał nad sobą, nieszczęście dla niego tak dotkliwe wydeptało straszliwe ślady. Badawczo zmierzył siostrę i przyjaciela, aż oko jego z boleści pełnym wyrazem spoczęło na Zuzannie.

— Będę wam towarzyszył w podróży — rzekł Orbes. — Jakób jeszcze pozostanie dla interesów swoich. Mam pewne prawo do tego, bo tylko co bratu Almy oświadczyłem się o rękę jego siostry i mam nadzieję bycia przyjętym.

Jakób uściśnął przyjaciela; obie kobiety struchlały.

Rok dobiegał końca — mroźna zima brała liczne ofiary, zwłaszcza w południowej Francji i pewnych częściach Niemiec. Niemniej, jako sprzeczność z uciskiem politycznym, wywiązała się taka chęć do zabaw, takie rozszalenie i ściganie za użyciem, jakie ledwo za najlepszych czasów mogłoby być jako szalę pojete. Głównie Bordeaux odznaczało się tem usposobieniem. Fryderyk w świetnym otoczeniu mimowolnie wplątał się w nowe stosunki, które, jakkolwiek przeszłość była mu niezapomniana, łagodziły nieco smutek roztargnieniem. Południowy ustrój odradzającego się społeczeństwa, pewna lekkość i łatwość arcy miła w obejściu, uprzejmość ludzi wszelkiego wieku i stanu, nie mogły jak tylko zjednać sobie umysł młodego poety. Mianowicie koła artystyczne miały dlań wiele powabu i nawet pozorami świetnymi

ładziły jego fantazję; społeczność ta pod formą aksamitną pokrywała cześć i materyalizm, które musiały porwać najroztropniejszy umysł skoro się posunął do ich pochyłości. W takich stosunkach nadwątłone jego zdrowie nie mogło w żaden sposób się polepszyć i Saint-Clair odwiedziwszy przyjaciela zostawił go pełen obawy. Tem silniej obawy te wzrosły, gdy pewnego razu Fryderyk wyszedłszy z domu niepowrócił zupełnie. Zapytania i odszukiwania okazały, że z papierami podróżnymi puścił się w głąb kraju. Nikt nie wiedział czemu to przypisać. Dzień jeden był dostateczny, by i przez to imię przeszły fale — zapomnienia! Jeszcze pytali o niego życzliwi, przychodziły listy zdaleka, wreszcie i to ustało. Tymczasem Fryderyk nieustannie wędrował wśród mroźnej zimy piechoto przez strome szczyty gór Auvergne, z doliny w dolinę, stawiając czoło wszelkim niebezpieczeństwom i gnany niewypowiedzianym niepokojem; jakiś tajemniczy Demon pędził go naprzód — aż na ojczystej ziemi — upadł pół martwy ze znużenia!...

Późno w noc przyjęła go uboga a gościnna chata, lampa wieczorna oświeciła drzemiącego, na stole opartego człowieka — ten się przebudził — wpatrując się zdziwiony w Fryderyka i rzucił mu się w objęcie. Był to Saint Clair.

— Cóż cię powraca ojczystej ziemi?

Ten ujął dłoń przyjaciela i chciał odpowiedzieć, ale znużenie po takiej wędrowce, wzruszenie wywołane powrotem odebrały mu siłę — siadł niemy na ławie a druhowi podał milcząc to pismo od Orbesa:

Wangeroge 18...

„Mój, zacny przyjacielu, stało się jak gdyby dobry gieniusz domowy Gontardów uszedł z tobą. Bo skoro Almy melancholia nieco się usunęła, widocznie niknąć poczęła nasza droga Zuzanna. Kąpiele morskie bardzo jej zaszkodziły, tak że musieliśmy tutaj po nad czas przepisany długo zabawić. Jeszcze drugi powód nas tam zatrzymał, — bankructwo Gontarda. O resztki fortuny chodzi i Gontard w zapasach fatalnych wypłynie zwycięzcą lub utonie. Oby zapóźno nie wrócił! zawsze to myślę ile razy spojrzę na tę różę wędną!... Znadto cię znam i cenię, bym nie wypełnił tego ciężkiego względem ciebie obowiązku i nie miał ci donieść o prawdzie. Poszlijże promyk udziału w tę noc rozpacz i opuszczenia!“

Saint Clair nie starał się pocieszać przyjaciela, ale widział go w takim stanie, że go samego nie śmiał zostawić. Nazajutrz puścił się z nim pieszo ku wybrzeżom morza północnego.

(Dok. n.)

PRZEGLĄD RZECZY SŁOWIAŃSKICH.

(Dokończenie.)

Pieśni o wilach (boginkach) są bardzo mało znane i ocenione, jak to przyznaje sam Rakowski. Mówi się w nich o boginkach górskich, wodnych i powietrznych, najczęściej jednak o tych ostatnich. Wile są bardziej nieprzyjazne, niżeli życzliwe człowiekowi. Bohaterowie i junacy chcąc zyskać sobie ich pomoc, przybierają je sobie za siostry. Tak Markowi pomogła boginka w ciężkim boju, a Sekulowi w zapasach ze smokiem. Często wchodzi w związki z ludźmi, zle z nich jednak żony i obojętne na dzieci swoje. Oto jak czyni ich pieśń określa:

„Zamek wila budowała,
Ni na niebie, ni na ziemi,

Alę gdzieś pod obłokami.

Gdy stawiała smukłe słupy,

Chłopców na nie różnych brała,

Ustawiając lekkie schody

Na poręcze dziewczki brała,

A budując jasne okna

Z dzieciątek je układała.“

Pod te pieśni podciągają się także i „zmije“ albo „adzeri“ t. j. smoki. Żarłoczne są i okrutne oraz wcześniej rozkochane w dziewczętach te straszdyła. W nich upersonifikowała wyobraźnia ludu wraz z siłą i własności przyrody. Z postępem cywilizacji zmije i pieśń niknie.

Pieśni nabożne odznaczają się największą pięknoscią. Ulubieni święci: Ilja (Eliasz), Jovan (Jan), Nikola (Mikołaj) i Peter (Piotr) podzielili się panowaniem nad światem. Eliaszowi przypadało budzić letnie burze, aby się go chrześcijanie lekali, św. Mikołajowi wody i burze morskie, u Jana na pieczy kościoły i klasztory, kmiotrostwo i pokrewieństwa, św. Piotr rządzi kluczami od rajów. Ci to święci chodzą po świecie, ratują wiernych a złych karzą.

Matka Boska opowiada św. Mikołajowi, że przeklęła trzy drzewa: osinę, aby nie miała cienia, jodłę, żeby nie miała owocu, a sosny za to, że odmówiły jej cienia, kiedy uciekała z Jezusem. Cześć dla tajemnic wiary głęboka. Kiedy się Stankowicz ze swych grzechów spowiada, wszystko mu pop odpuszcza, okrom zrabowania trzech kościołów, a kiedy się nadto dowiaduje, że grzesznik wyrwał matce i połamał dwie białe hostye, które niosła w ofierze św. Józefowi, woła na trzechset młodszych popów, ażeby wzięli kamień ważący trzysta ok (oko: trzy funty), uwiązali Stankowiczowi do szyi i w morze go rzucili. Ale i morze nie chciało przyjąć takiego winowajcy — rozstąpiło się na wszystkie strony.

Św. Piotr nie chce wpuścić do rajów matki swojej, ponieważ gdy była karczmarką, źle mierzyła, wino mieszała z wodą i żebraków odganiała. Mówi tak do niej:

„Przyszli k'tobie dwaj żebracy,
Dwaj żebracy, nieboracy,
Zajeczeli, zaspiewali,
I prosili ciebie, matko,
W święte imię Chrystusowe.“

A ona życzyła im, żeby ich piorun pobił, krzycząc, że radziby od niej wziąć całą chałupę. A gdy już kogo obdarzyła, to w mące dała połowę popiołu a w soli połowę piasku.

„Placzcie, krusz się, grzeszna matko,
Tyś niegodna wejść do rajów,
Wejść do rajów, raj oglądać.“

Przyszła do piekła. Na prośby jej wyrwał sobie Piotr św. włos i wyciągnął go do niej, do piekła. Dużo się dusz do niego naczepiało. Matka odgania je, wołając, że niegodne wyjść z piekła; w tem się włos urywa i grzeszna kobieta spada aż na najgłębsze dno mąk wieczystych.

Bohaterskich pieśni przedmiotem są rozbójnicy, junackie zapasy ze smokami, boginkami złemi, walki za wolność, boje z niewiernymi i rycerzami uważanymi za niezwycięzonych. Często także poszukiwanie żony, bogate małżeństwo, porwanie dziewczyny, wydobywanie z więzienia itd.

Ducha wojowniczego dziecko ssie od młodości. Matka kołysze syna w złotej kolebce i śpiewa:

„Gdy wyrośniesz miły synku
Wyrwiesz ziemię z obcej ręki,
Oswobodzisz, mój Stojanie.“

Junak czyli zbójnik bułgarski najczęściej kocha konia szybkiego, ostry miecz i serdeczną niewiastę, uzbrojenie jego stanowi buzdycan (młot) ważny na 300 ok, albo pałka; nowsi zbójnicy mają miecz błyszczący, „siekający drzewo i kamienie“, wierną strzelbę na ramieniu, pistolety za pasem, ze stroju najczęściej pieśń wspomina o burce, kiedy pędzi junak na koniu:

„Z pod kopyta ogień wykrzesuje,
Przelatują mu iskry przez głowę.“

A kiedy się dwaj junaki za bory wzięli:

„Splatali się, jako lute żmije,
Czarna ziemia trzęsie się i niebo,
S

Po wszej ziemi głos się ich rozlega,
Jakby grzmoty czynił Eliasz święty.“

Młody Dukowiniec tak ciska kamień, że ten pada dopiero za trzy dni i trzy noce.

Wiele serbskich pieśni zaczyna się od tego, że junak pije wino, kto najwięcej wypije, ten najteższy junak. Tymczasem Bułgar Iwo pisze z więzienia do swego druha, ażeby go wyswobodził. Podaje do tego takie rady:

„Wybierz sobie trzystu chłopców śmiałych,
Co nie piją żadnego napoju,
Co nie mają ojca ani matki;
Co nie znają jak to boli rana.“

Serbski Marko królewicz słabnie i choruje w więzieniu. Nim się w bój wybierze, pierwiej trzy razy po trzy niedziele dobrze je i pije, a kiedy się nareszcie wraca siedmdziesięciu ranami pokryty, dostaje od cesarza tysiąc dukatów i chodzi od gospody do gospody dopóki się nie wygoi.

Bułgarski junak walczy choć chory i nieprzyjaciela poraża — bez napoju. Jeden więzień się żali, że miał ciężkie więzienie. Po kolana w nim było wody. Junak strawił tam dziewięć lat.

„Urosły mu włosy aż do pasa,
Rzęsy oczu — jak jaskółcze skrzydła.“

Jeśli junak dopuści się złego czynu, leży za to dziewięć lat chory i wyleży dziewięć pościeli. Wtedy zwyczajnie matka go się pyta czy nie ma jakiego grzechu, a on matce lub księdzu się spowiada i winy żałuje. Tak na przykład Marko był w polu wzięty. Córka jego dozorey podawała mu do więzienia gałązkę kwiatu, ażeby wiedział kiedy lato, grudkę śniegu, ażeby wiedział kiedy zima. Wreszcie wydobywa go na wolność za obietnicę, że się z nią ożeni. Uciekają razem aż dojechali do pewnej studzienki. Tu dopiero Marko spostrzega, że jego kochanka ma czarne a nie białe zęby. Tak go to zgiewało, że ją zabił. Uważa się to za grzech najcięższy.

Syn grozi matce, że jeżeli go nie ożeni, on zostanie hajdukiem (rozbójnikiem).

„Bede w czarna stroil się koszulę,
Niejednej ja matce lzy wycisnę,
Niejednego zagubię junaka.“

Hajduacy są wspaniali i pobożni. Popatrzmy jak wygląda hajduk martwy na łożu:

„W głowach ma proporzec na kształt krzyża,
Na proporcach tym krzyżów dwanaście,
Wszystkie krzyże są z drogich kamieni.“

Zakończymy ten krótki przegląd treści i ducha narodowych pieśni bułgarskich, w którym trzymaliśmy się uwag Bułgara Rakowskiego i najświeższej pracy Jana Dunowskiego, Czecha, małą wzmianką jeszcze o pieśniach miłosnych. Pieśni miłosnej w pojęciu naszym u Bułgarów nie ma. Jeżeli się mówi o kochaniu, mówi się o owym szlachetnym połączeniu dwóch dusz i ciał sądzonych dla siebie — o małżeństwie. Miłość nie idąca ku pomnożeniu i utrzymaniu rodziny nie jest u nich miłością. Dla tego wesele jest u nich uroczystością najważniejszą w życiu, dla tego tyle pieśni weselnych, dla tego w treści każdej pieśni trafia się słowo: ślub. I św. Dymitr się żeni. Wszyscy święci są mu swatami. Kiedy przychodzi orszak weselny do rzeki, św. Eliasz nie chce go przepuścić, ponieważ panna młoda nie ofiarowała mu żadnego podarku. Dali mu tedy białą różę i ostry miecz a ułagodzony święty ich puścił.

W tych to pieśniach miłosnych odbija się wybornie obraz żywota rodzinnego. Miłemu stukającemu do okienka

odpowiada kochanka, że wstać nie może, bo matka leży przy niej, lewą rękę ma pod nią, prawą nad nią.
 — Dziewczyna porównana zwykle do jodły — miły do topoli — kochanek i kochanka — to orzeł i orlica.
 — Pieśni miłosne spiewają się na tak zwanych „sedenkach.“ Jest to nic innego, jeno nasze wieczornice.
 Oto jedna z pieśni wieczornicowych:

W wieczór szary, zlatko miła,
 Przyszedłem na wieczornice,
 Znalazłem cię opuszczone,
 Zmarkoczoną, zasmuczoną,
 Jako różę pół uwiedłą,
 Czemuś taka rozżalona,
 Zmarkoczoną, zasmuczoną?
 Kiedy pytasz, najmilszy,
 Kiedy pytasz, powiem tobie,
 Czemu jestem rozżalona,
 Rozżalona, zmarkoczoną,
 Słyszałam to i pojęłam,
 Że chodzisz na wieczornice
 I miłujesz jeszcze inną,
 Jeszcze inną — nie mnie samą
 Czy miłujesz jeszcze inną
 Jeszcze inną — nie mnie samą?
 Czy ci daje jak ja kwiatki,
 Czy ci mówi moje słówka
 Czy tak tańczy, jak ja tańczę?
 Dragan zlatce odpowiada:
 Jeśli inną ja miłuję,
 Jeszcze inną, oprócz ciebie,
 Mam konika — niech go strace,
 Mam ja strzelbę — niech mi zginie.

Nieładajże, bym ci kłął się,
 Bym ci kłął się, zaprzysięgał,
 Wierz, na Boga, moja miła,
 Żadnej innej nie miłuję!

Podanie gałązki z kwiatem jest dowodem miłości. Wyznanie takie proste jest i piękne. W zagrodzie siedzi hoża Dunno. Stojan przegina się przez płot i roni nóż z ręki. Woła na Dunno, żeby mu go podała. Ona nie podaje mu noża ale poda mu kiść osypaną purpurowym kwieciami. Jeżeli przeciwnie chłopiec nie zyska wzajemności od dziewczyny odpowiedź jej jest równie piękna i prosta.

Młody pop schwytał dwie dziewczyny, które mu weszły w ogród. Pierwsza prawi, że będzie mu czesać długie włosy, a druga płacząc odpowiada, żeby ją puścił i popatrzył na nią, że oczy ma pełne łez ale serce próżne. Zauważyć tu także, że o sercu nie mówi się u nich wiele, w pieśni zastępują je oczy:

Moje oczy, — twoje oczy,
 Twoje oczy — moje oczy.

Takie są bułgarskie pieśni, których poeta trzeźwa i spokojna, daleka od konwencyonalizmu cywilizowanego, posażna prostotą i świeżością środków poetycznych, może być krynicą natchnienia i odrodzenia dla każdej głębszej duszy, znękaną sztuczną atmosferą cywilizowanych uczuć.

Władysław Ordon.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

(Filiberta, komedia w 3 aktach Emila Augiera, przekład wierszem Kazimierza Kaszewskiego).

Dwukrotnie w bieżącym tygodniu (d. 15. i 17.) przedstawiono tę komedję. Emil Augier dzieli swój zawód pisarski na trzy odrębne doby. W pierwszym burzliwej fantazji młodzieńczej okresie napisał parę dramatów historycznych („Zdobycie Neapolu“ i inne), w których wartość ani krytyka, ani on sam nie uwierzył. Wtedy dał literaturze francuskiej szereg komedji, zwykle nader poetycznie i szlachetnie pojętych, które uderzały śmiałością pomysłów i wytwornym smakiem w opracowaniu tychże. Zawsze okazywał skłonność do stwarzania postaci o naturze wyjątkowej, w sobie noszącej sprzeczność, które bieg sztuki ułagadzał. To zamiłowanie w trudnej i paradoxalnej charakterystyce pochłaniało coraz wyłączej jego fantazję, tak że z czasem dbać przestał o poetyczność kompozycji i skierował cały wzrok swój na przeprowadzenie charakterów wybitnych, z życia wziętych. Powiedział sobie wraz z całą pozytywną estetyką pana Taine, że sztuka wtedy dopnie swojego celu, jeżeli ujmie w swe formy życie teraźniejszości z nagą jego prawdą i zasadami. Sztuka być powinna wyrazem chwili, z odmianami jej prądów odnawiać także swą fizyognomię i tak, wiernie a wytrwale, towarzyszyć swemu czasowi. Taine więc a za nim Augier w dzisiejszem przeobrażeniu swych poglądów, nadają sztuce wartość bez pośrednią, każą jej mieć na oku interes praktyczny. Gdy takie pojęcie rzeczy jasno się ukształtowało w głowie Augiera, zerwał płacziwym dramatem „Gabryela“ z własną przeszłością i stanął potęgą swego talentu wyniesiony odrazu na czele szkoły realistów francuskich. Co potem nastąpiło wszyscy wiemy — bo któż nie zna „Bezczelnych“ lub „Syna p. Giboyer“? Ale „Filiberta“, to jeszcze fiolet z innej łąki, to jeszcze technicznie lat wiosennych w poetycznym zawodzie Augiera. Nosi więc ta komedja na sobie wszystkie cechy idealizmu, wszystkie

przytem dobre strony talentu swego twórcy, wraz jednak z wadami, których się dziś ustrzega, wzbogaciwszy życie doświadczeniem.

Na zamku bretońskim Grandchamps żyją dwie siostry, będące sobie antytezą. O ile Blanka jest dziewczęciem wesolutkiem, na świat pogodnie patrzącem, bo od świata szrzyerze ukochanem, o tyle Filiberta patrzy nań ponuro i cierpi głęboko, bo ten sam świat ją niesłusznie upośledził... Powiadają jej codzień, że jest na twarzy brzydką, z natury dziką, na umyśle nie wykształconą, podczas gdy ona sama czuje, że posiada w duszy niewyczerpane skarby poświęcenia i słodyczy... Popchnięta przez nieczuły świat do samotności, sama się wychowuje, sama kształci swoje pojęcia, wyrabia w sobie kobietę — jest autorką własnego życia i dzieckiem natury... Gdy jeszcze dodamy, że kocha charakterystyką jej będzie zupełną... Kocha zaś młodego Lucyana de Taulignau, chłopca ubogiego, ale ani przypuszcza wzajemności — tak jest onieśmieloną do świata. Pozorna obojętność Lucyana sprawia jej najcięższy, ale cichy ból — tymczasem on z równą siłą, ale i z równą niewiarą ubóstwa Filiberte. Jego znowu onieśmiela własne ubóstwo, a miłości swej wyznać nie pozwala wrodzona duma. Wreszcie jednak przemaga siła uczucia — Lucyana oświadcza się, ale skeptyczna i zdziwiona Filiberta widzi w tem raczej akt miłosierdzia nad sobą, chęć wyrwania jej z nienawistnych więzów otoczenia — i odmawia w tyradzie, przepelnionej goryczą. Po drażliwej przeprawie dwojga głęboko się miłujących kochanków następuje — nawet wypowiedzenie sobie całej przyjaźni. Fale uczuć są jak fale morza, powiada Grillparzer, w ciągłym przypływie i odpływie. Tymczasem przybywa na zamek stary wyjadacz rozpusty wersalskiej, książę Chamaraule, któremu król Ludwik XVI dla przyzwoitości, kazał się ożenić. Książę szczerze kocha „brzydką“ kuzynkę i oświadcza się o jej rękę — tak samo jednak, chociaż w innych, mniej enotliwych zamia-

rach, wynurza Filibercie wyuzdane swe afekty siostrzeniec księcia, cyniczny pupil miłostek i encyklopedyzmu XVIIIgo wieku, Gaston de Talmay... Filiberta odrzuca naturalnie obydwu te oświadczenia, ale w duszy jej odbywa się gwałtowny przewrót — widzi naocznie, że przecież nie musi być tak brzydka, ani na umyśle tak uposledzona, kiedy aż dwóch ludzi może pokładać szczęście życia w jej miłości. To jej otwiera oczy, że Lucyanowi wyrządziła swem posądzeniem krzywdę — że Lucyan mógł nie z litości, ale z popędu serca, prosić ją o rękę... Tym wypadkiem odrodzona, nabrawszy siły i ufności w siebie, oddaje się Lucyanowi — od chwili, kiedy zaczęła wierzyć, że może uszczęśliwić człowieka...

Oto krótka osnowa — przyznacie, że w streszczeniu wszystko jest uzasadnione i poetycznem, a przecież brak konsekwencji w charakterystyce. a nawet niektóre odcienia w postaci Filiberty rażą tu bardzo... O ile delikatnie i z rzadkim urokiem oddana jest metamorfoza kobiety smętnej, rozgorączkowanej i wdychającej prawie po Hamletowsku do śmierci, w dziewczę radosne, upojone życiem, grzejące się na słońcu własnych uczuć, o tyle jednak sędzę, że na dnie duszy Filiberty została była powinna zawsze chociażby lekka pamięć czasu, w którym uważano ją za kopciuskę, pewna rzewność w uniesieniach szczęścia, pewna lekliwość w obec ludzi, każąca jej obchodzić się z nimi łagodnie i pokornie, chociażby figura była tak pocieszna, jak stary Chamaraule... Przybranie zaś tak szybkie tonu sarkastycznego i pewnego siebie odbiera postaci wdzięk a nawet wewnętrzną prawdę. W objawach duszy niema przejść tak łatwych, tak stanowczych... Kiedy zaś Filiberta ironizuje nawet pocziwego choć dziwaczного zresztą starca, to już wcale nie zostawia miłego wrażenia. Obok tego błędu wycisnął Augier na każdej scenie swej „wonnej“ komedii, piętno rzetelnego i czystego natchnienia. Wyborne pochwyciona jest charakterystyka wieku XVIIIgo, tej chwili dziejowego przełomu, w której pojęcia stanowiące zasób moralny tylu

wieków, starły się a nowa myśl obyczajowa jeszcze nie prześląknęła umysłów. Pojęcie rodziny było podkopaniem a cynizm opanował życie czyniąc je rozpustą, i filozofie czyniąc ją materjalizmem. Wychowankami tej epoki są książę Chamaraule i jego siostrzeniec, dwa wyborne, z niespożyta werwą humoru nakreślone typy. Dyalog sztuki jest nader wykintnym i bogatym w ośniewające zwroty myśli.

Niepodobnem byłoby twierdzić, że pani Woleńska (Filiberta) przemogła wszystkie trudności swej roli, ale jakkolwiek pragnęlibyśmy u niej chętnie widzieć silniej rozwiniętą grę dramatyczną, to przynajmniej należy artystce zaletę trafnego i gruntownego zrozumienia przedstawionej postaci we wszystkich jej odcieniach. Pani W. wkłada w grę swoją bardzo wiele ujmującego prostotą wdzięku i rolę o nastroju lirycznym, smętnie uczuciowym umie powlekać kolorytem miłej poezji, ale na oddanie potężniejszych objawów duszy nie starczy jej siły... Filiberta do pewnego stopnia leży jeszcze w zakresie talentu pani W... P. Królikowski (książę Chamaraule) oddał trafnie posuwistość zalotną wychowanka dworu, ale dla uwidomienia śladów rozpusty, użył efektów nadto zewnętrznych. Rozpusta nie wypiętnowała się w jego grze na całej postaci, na duszy Chamaraula ześrodkowując wpływ swój cały w nogach... P. Kwieciński (Gaston de Talmay) wypaczył zupełnie charakter kawalera wersalskiego, pełnego elegancji przy całym zewnętrznym cynizmie, gładkiej rzutkości w ruchach, wykintnej emfazy w głosie, wysokiego smaku w ułożeniu, a delikatnej werwy w dowcipie. O ile p. K. bardzo jest miłym artystą w roli kochanka mieszczańskiego, uczuciowego, o tyle nie ma żadnych warunków na oddanie tych wietrznych a świetnych kawalerów, których istota się streszcza, jak tam gdzieś Klaczko pisał, „we frazesie i w pozie“. Na zupełne uznanie zasłużyła w tej komedii tylko piękna, uczuciem przepojona gra p. Woleńskiego (Lucyan) i panny Deryng (Blanka).

Bronisław Zawadzki.

Wiadomości naukowe, literackie i artystyczne.

LITERATURA i ESTETYKA. Stan. Czarnowski. *Warszawski rocznik literacki, poświęcony oświacie, bibliografii i księgarstwu.* Rok I. 1871. Warszawa 1872. Jest to wcale dokładny pogląd na zbiór literacki ubiegłego roku w połączeniu z dodatkiem zawierającym spisane w alfabetycznym porządku wszystkie nowe książki wyszłe w trzech dzielnicach Polski.

HISTORIA. Zimmermann dr. Wilhelm. *Geschichte der Jahre 1860 bis 1871.* Stuttgart 1872. Kończy z wojną francusko-pruska.

— Borkheim L. *Partheien und Politik des modernen Russland,* przekład z angielskiego. Zurych 1872.

NAUKI SPOŁECZNE. Stanley Javons. *The Theory of Political Economy.* 1872. Opiera prawa nauki społecznej na rachunku różniczkowym, wychodząc z zasady, że ekonomia, działająca ilościami, ulegać powinna opracowaniu matematycznemu.

— Hirschberg Rich. *Die Lösung der sozialen Frage, nebst Darstellung der wichtigsten socialistischen Lehren und der Arbeiterbewegung der letzten Jahre.* 1872.

NAUKI PRZYRODNICZE. Dr. Quenstedt. *Neue Reihe populärer Vorträge über Geologie.* Tübingen 1872, str. 322. Traktuje o kruszczach szlachetnych, meteorach i skamieniałościach, ze szczególnem uwzględnieniem stosunków miejscowych w Szwabii i Wirtembergii.

PEDAGOGIA. Michel Bréal. *Quelques mots sur l'instruction publique en France.* Paris. Hachette 1872.

— Hippéau M. C. *L'instruction publique aux Etats Unis.* Didier 1872.

ODCZYTY. W Warszawie rozpoczął d. 12 z. m. p. Miecz. Malcz. szereg odczytów: „O przesądach o odcz. stwa w rzeczach lekarskich.“ — We Czwartek d. 18 b. m. miał w Krakowie odczyt

dr. Adam Asnyk (El...y): „O rozkwicie średniowiecznego romantyzmu w południowej Francji“ (o Trubadurach.)

TEATR. W Krakowie przedstawiono trzykrotnie z wielkim powodzeniem Szekspira komedję fantastyczną: „Sen nocy letniej“ w przekładzie St. Koźmiana, z muzyką Mendelssohna-Bartoldy.

W paryskim *Theatre Français* przedstawiono długo oczekiwaną komedję Henryka Meilhac: „Nany.“ Utwór, jak mówi krytyka, napisany z talentem, ale nie ma w sobie dramatyczności. Jest raczej bystrem studjum jednego charakteru, analiza uczucia, dyalogowanym romanssem, nie ma w nim działania, któreby poruszało i budziło żywy interes. — Karol Piękowski przełożył komedję Moliera: „Don Zuan.“

Składka na fundusz szkół ludowych.

Pani M. 1 złr. — Panna M. 1 złr. — Z kwotą poprzednią: 29 złr.

Od redakcyi. *Świt* umieszcza inseraty w osobnym półarkuszowym dodatku. Przyjmują takowe: we Lwowie Agencja Czasu p. Alex. Piątkowskiego, w Krakowie Agencja *Świt* w księgarni p. J. Wilda, we Wiedniu p. A. Oppel i Wollzeile, 22 i pp. Haasenstein & Vogler, Neumarkt 11, w Paryżu Wny pułkownik W. Raczkowski Rue du Pont de Lodi nr. 1.

Oplata: za wiersz drobny (*petit*) 6 ct., oraz należytość stemplowa po 30 ct. za każdorazowe ogłoszenie.

Wydawcy: Romuald Starkel i Bronisław Zawadzki. Redaktor odpowiedzial: Zygm. Ulanowski. Z drukarni J. Dobrzańskiego & K. Gromana.